



## **Grudniowa niedziela u jubilera Erikssona**

Ulica Krasnoludków w Sztokholmie jest wyjątkowo sympatyczna. Już sama jej nazwa brzmi przyjemnie. Trudno nawet uwierzyć, że może istnieć ulica nazywająca się tak ładnie. A jednak na niej właśnie zdarzyła się kilka lat temu najbardziej dziwna i niepokojąca historia, z jaką prywatny detektyw Ture Sventon miał kiedykolwiek do czynienia. Rozwikłał ją oczywiście we właściwy mu, szybki i zręczny sposób. Jubiler Eriksson byłby najchętniej zatuszował całą sprawę, ale tego nie dało się zrobić, bo pisano o niej w każdej gazecie.

Ulica Krasnoludków leży w pięknej dzielnicy Vasastad. W tej części miasta spotyka się przeważnie sklepy nabiałowe, pasmanterie

i piwiarnie. Tak samo jest na ulicy Krasnoludków, z tą jednak różnicą, że znajduje się tam również sklep jubilerski. Szyld nad jego oknem wystawowym głosi:

## **HENRYK ERIKSSON** **Jubiler**

Mimo wszelkich uroków ulicy Krasnoludków można by pomyśleć, że nie jest to zbyt dobre miejsce dla jubilera. Ale myśląc tak, popełniłoby się zasadniczy błąd. Bo gdy tylko ktoś w sąsiedztwie żeni się lub wychodzi za mąż, ludzie zaraz mówią: „Pójdziemy do Erikssona poszukać jakiegoś prezentu ślubnego. Chyba kupimy coś z platerów\*”. Pan Eriksson znany jest na całej ulicy Krasnoludków dzięki swoim pięknym prezentom ślubnym. Nigdzie nie dostanie się tak ślicznych platerowanych półmisków, lichtarzy czy salatek. Nie mówiąc już o widelcach.

„Czy wystarczy pół tuzina, czy też damy im cały tuzin?” — zastanawiają się kupujący.

Ale jubiler Eriksson marzył najchętniej o sławnych klejnotach i brylantach. Czytywał książki o szlachetnych kamieniach światowej klasy i wszystko wiedział na temat ich szlifu, ilości karatów, właścicieli i ceny. Najbardziej lubił czytać o kamieniach tak dużych, że aż niemających ceny. Zgromadził całą półkę książek o diamentach. Wiedział wszystko o Koh-i-noorze i o Wielkim Mogole.

Pani Eriksson nieraz mu wypominała: „Znów siedzisz i czytasz o Wielkim Mogole zamiast zabrać się do czegoś pożytecznego”.

Podczas niedzielnych przechadzek po mieście jubiler Eriksson lubił zatrzymywać się przed najbardziej znanymi sklepami jubilerskimi, mającymi olbrzymie okna wystawowe. Wpatrywał się tam w drogocenne kamienie i gdy tylko zobaczył coś naprawdę wyjątkowego, pogrążał się w myślach. Wróciwszy na ulicę Krasnoludków, zawsze rzucał okiem na swoją wystawę z platerami, a dopiero potem szedł na górę zjeść sznycel cielęcy i szarlotkę.

Rodzina Erikssonów mieszkała bowiem nad sklepem. Trudno wyobrazić sobie lepsze warunki dla jubilera: wystarczyło wejść do windy i wjechać trzy piętra. Mieli przestronne, nowoczesne mieszkanie składające się z trzech pokoi i kuchni oraz przylegającego do niej małego pokoiku. Trochę było ciemne i ponure,

niemniej mieszkało się w nim wyjątkowo przyjemnie i wygodnie.

W prawie każdą niedzielę jubiler Eriksson mówił przy obiedzie: „Widziałem dziś wspaniały brylant na mieście. Piękna rzecz, ale szlif niewłaściwy. Ja bym go nigdy nie ciął w ten sposób”.

— Jak byś go ciął w takim razie? — zapytała pani Eriksson w którąś taką niedzielę. — Szkoda, że nie ma dziś ciotki Agdy, ona tak lubi szarlotkę. U niej jest zawsze taka dobra szarlotka.

— Szarlotka? — odezwał się pan Eriksson, podnosząc półprzymknięty wzrok znad talerza. — Chcesz powiedzieć: rubiny?

— Nie, nie chcę — odparła jego żona, ściągając lekko wargi — wcale ich nie miałam na myśli.

Jej mąż wpatrywał się w nią ze szczerym zdziwieniem.

— Ależ, kochanie, wiesz przecież dobrze, że ciocia Agda ma pierścionek z trzema rubinami. Najwyższej klasy. Z tych rzeczywiście najlepszych na świecie. Koloru krwi, o jedwabistym połysku.

— Tak, wydaje mi się, że wiem — odparła pani Sonja Eriksson.

— Ale ja myślałem, że powiedziałaś... — zaczął jej mąż z półotwartymi ustami.



Sonja Eriksson odpowiedziała powoli, dobitnie, z ledwo dostrzegalną groźbą w głosie:

— Powiedziałam, że ciocia Agda powinna tu być teraz. Bo bardzo lubi szarlotkę.

— I ja też. Ale nie szarlotkę — dodał pośpiesznie roztargniony jubiler. — Chciałem powiedzieć...

Państwo Eriksson mieli dwoje dzieci: Elżbietę i jej brata, Henryka Erikssona juniora. Oboje przysłuchiwali się chętnie rozmowom rodziców. Uważali, że to równie zabawne jak pójść do kina, i oboje wiedzieli dokładnie, jak takie rozmowy podtrzymywać.

— Co chciałeś powiedzieć, tatusiu? — spytała Elżbieta. Miała jasnoniebieskie oczy, blond włosy uczesane w koński ogon i niedzielną sukienkę w kratkę.

— Co takiego, dziecko? — spytał ojciec trochę zirytowanym głosem.

— Mama właśnie mówiła, że u cioci Agdy jest zawsze taka doskonała szarlotka. Wtedy tata powiedział, że jest prawie światowej klasy — włączył się Henryk, marszcząc czoło, cały zatopiony w myślach.

— Tak, tak powiedziałaś, tatusiu! — dodała Elżbieta.

— Trzy sztuki — rzekł Henryk. — Trzy szarlotki o światowej sławie. — Zmarszczył jeszcze bardziej czoło. Widać było, jak głęboko się zastanawia.

— Cicho bądźcie, jedno z drugim! — odezwała się pani Eriksson.

Taka to scena rozegrała się w tej całkiem zwyczajnej rodzinie jubilera, siedzącej pewnej grudniowej niedzieli przy kolacji, na ulicy Krasnoludków. Na dworze zaczął padać śnieg. Zbliżało się Boże Narodzenie. Latarnie uliczne były już zapalone. Nikt absolutnie niczego nie przeczuwał. A jednak tego właśnie wieczoru zaczęła się owa tajemnicza i niepokojąca historia.

W holu zadzwonił telefon. U Erikssonów panował taki rodzinny zwyczaj, że ile razy dzwonił telefon, wszyscy zrywali się i zaczęli krzyczeć.

— Telefon! — wołała pani Eriksson.

— Ktoś dzwoni! Ja odbiorę! — krzyczał Henryk junior, zrywając się z miejsca i przewracając krzesło.

— Nie! Ja! — krzyczała Elżbieta i też się zrywała, ale trochę za późno.